

### **„Pisarz, który potrafi się śmiać”. Jubileusz literacki siedemdziesiątych urodzin Marka Ławrynowicza**

**Transkrypcja i opracowanie: Anna Bykova**

**Żaneta Nalewajk:** Dzień dobry państwu, witam państwa serdecznie na jubileuszu literackim Marka Ławrynowicza. Witam naszych gości: laudatorów Iwonę Smolkę i Janusza Kukulę oraz panią Lucynę Malec, która będzie dla nas czytać teksty jubilata. Oprawę muzyczną dzisiejszego wieczoru przygotował pan Stanisław Kławe. Witam również panią dyrektor Domu Kultury Śródmieście Joannę Strzelecką, bardzo dziękujemy za umożliwienie nam spotkania. Skoro już wprowadzamy państwa w kulisy tego przedsięwzięcia, warto zaznaczyć, że jest to nasze czwarte podejście do organizacji tego jubileuszu, tym razem skuteczne. Zaczęliśmy przygotowania do niego dawno temu, pierwszy raz planowany był na czerwiec 2020 roku, ale zmągliśmy się wszyscy z pandemią, instytucje kultury były pozamykane, spotkanie nie doszło do skutku. Potem przenieśliśmy jubileusz na wrzesień 2020, ale znów się nie odbył, ponieważ na przeszkodzie stanęła choroba współpracowników Domu Kultury Śródmieście i konieczność zarządzenia kwarantanny dla pracowników. Potem była kolejna próba, ale sam jubilat zdecydował o przesunięciu spotkania ze względu na bezpieczeństwo gości i wreszcie po licznych perypetiach jesteśmy tu cali i zdrowi, w zaplanowanym gronie, za co bardzo dziękujemy. Jesteśmy niezwykle wdzięczni, że państwo nam dzisiaj towarzyszą. W międzyczasie zaszły jednak zmiany instytucjonalne. Ten jubileusz miał być współorganizowany przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, jednak troje z nas obecnych na tej scenie (Iwona Smolka, Marek Ławrynowicz i ja) wspólnie z Piotrem Matywieckim, Piotrem Mitznerem i Jackiem Moskwą odeszło z niego w styczniu 2020. Realizujemy więc dawne plany z pojedynczym wsparciem instytucjonalnym.

Przedstawię państwu teraz w kilku zdaniach jubilata, ale bardzo postaram się nie mówić za długo, bo mam nadzieję, że jego najlepsza prezentacja wyniknie z dzisiejszej rozmowy. Marek Ławrynowicz ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutował jako poeta, co część państwa może wprawić w zdumienie, ponieważ znamy Marka Ławrynowicza głównie jako bardzo dobrego powieściopisarza, scenarzystę filmowego, autora słuchowisk radiowych. Tych twórczych ról było w jego życiu znacznie więcej. Jubilat ma na koncie także występy kabaretowe oraz role aktorskie. Mam nadzieję, że dzisiejszy jubileusz pokaże wiele twarzy i wiele aktywności Marka. Marek Ławrynowicz wydał osiem powieści: *Kapitan Car* w 1996 roku, *Diabeł na dzwonnicy* w 1998 roku, *Kino Szpak* w 2000, *Pogoda dla wszystkich* w 2003, *Mumia Świętego Piotra* w 2013 roku, *Patriotów 41* w 2014 roku, *Mundur* w 2016 roku (dwie ostatnie po-

wieści, które dostały nagrodę Warszawskiej Premiery Literackiej). W tym roku, dosłownie przed chwilą, ukazała się jego powieść zatytułowana *Malinówek*. Spod pióra jubilata wyszły także: zbiór opowiadań *Korytarz* oraz wybór słuchowisk radiowych *Niepotrzebny wiersz*. Teksty Marka Ławrynowicza tłumaczone były na kilka języków, w tym na niemiecki, rosyjski, ukraiński, czeski. Do stycznia 2021 roku jubilat był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, także członkiem Zarządu Głównego, a wcześniej redaktorem co najmniej kilku czasopism, między innymi „Wyspy” (w której pełnił funkcję pierwszego redaktora naczelnego), współpracuje też z portalem *Pisarze.pl*.

Marku, debiutowałeś późno...

**Marek Ławrynowicz:** To zależy, jak na to patrzeć. Jako poeta debiutowałem, mając 23 lata.

**Żaneta Nalewajk:** Ale jako prozaik po czterdziestce.

**Marek Ławrynowicz:** Jako prozaik miałem dokładnie dwa razy więcej lat niż wtedy, gdy debiutowałem jako poeta. Tak wyszło.

**Żaneta Nalewajk:** Droga do gatunków najbardziej charakterystycznych dla twojej twórczości była bogata i także trochę kręta, prawda? Powspominaj proszę, od czego zaczynałeś.

**Marek Ławrynowicz:** Zaczynałem od wierszy, nie byłem w tej dziedzinie szczególnie zdolny, co na swoje szczęście rozumiałem dość szybko. Potem wdałem się w różne działania awangardowe, konceptualne. Zajmowałem się tym kilka lat, ale potem zacząłem się nudzić. Wtedy nastąpił rok 1980, przybył do mnie tu obecny Stanisław Klawe, powiedział, że to nie czas na konceptualizm, mamy robić kabaret, jeździć po Polsce i walić w reżim. Tak też uczyniliśmy. Po tym naszym szale kabaretowym – w 1982 roku – zostałem uczniem cukierniczym. A potem było już coraz więcej prozy. Natomiast moim problemem bardzo długo było – i do dzisiaj może nawet jest – to, że ja jestem urodzony do krótkich form. Moje standardowe opowiadanie zajmuje niecałą stronę – to jest mój wymiar. Oczywiście od czasów licealnych chciałem być pisarzem. Przyzwoitość nakazuje, że jeśli ktoś chce być pisarzem, powinien napisać książkę, a nie tylko takie historyjki. Dzięki Günterowi Grassowi rozumiałem na szczęście, że można utkać powieść z krótkich opowieści, da się ułożyć mozaikę z następujących po sobie małych opowiastek. Tak urodziły się moje książki i do dnia dzisiejszego są pisane w taki sposób. To książki człowieka, który nie ma zdolności do długiej prozy, ale już ma tyle doświadczenia, że wie, jak ją napisać, układając historyjki jedną po drugiej.

**Żaneta Nalewajk:** Nie nazwałabym tej predylekcji do małej formy słabością. Kwalifikując kandydatów na studia podyplomowe „Szkola Mistrzów. Studia technik pisarskich i prezentacji tekstu literackiego”, czytamy próbki ich twórczości. Zawsze prosimy, by była to mała forma – trzy strony maszynopisu. Bywały lata, że tylko mniej więcej 10% kandydatów było w stanie wysłać do nas spójny tekst nieprzekraczający tej objętości. Otrzymywaliśmy kilkunastostronicowe prace, bardzo ciekawe, a jednocześnie potwierdzające spostrzeżenie, że tworzenie małych form literackich kompensujących zwięzłość złożonością formalną jest niezwykle trudną sztuką. W tym, że w pewnym momencie wpadłem na pomysł, jak składać duże objętościowo teksty literackie z małych form, upatrywałabym siłę, a nie słabość twojego pióra. Wróćmy jednak na chwilę pamięcią do czasów szaleństw kabaretowych ze Stanisławem Klawem. Wiem, że przygotowaliście wspólnie program poetycko-muzyczny.

**Marek Ławrynowicz:** To też. Najpierw stworzyliśmy w czasach „Solidarności” coś, co się nazywało Zjednoczenie Satyryczne POLŻART. Było to nawiązanie do Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”. Posługiwaliśmy się tam rymowanymi i innymi tekstami, a przy okazji świetnie się bawiliśmy, to było bardzo przyjemne. Potem został wprowadzony stan wojenny i nasza zabawa się zakończyła na dłuższy czas. Natomiast wymyślił się coś innego. W związku z tym, że Stanisław śpiewał w latach siedemdziesiątych wiersze Czesława Miłosza, przygotowaliśmy program „Piosenka o końcu świata”, czyli rzecz o Miłoszu, który polegał na tym, że ja opowiadałem o twórczości Miłosza, a Stanisław śpiewał jego wiersze. Wykonywaliśmy ten program przez długi czas częściowo dla szkół, częściowo w „normalnych warunkach”. *Piosenkę o końcu świata* – uprzedzę – usłyszymy też dzisiaj, ponieważ ona jest ważna dla mojego życiorysu. Potem robiłem różne rzeczy w dziedzinie estradowej. Kiedy już bardziej było można, stworzyliśmy Kabaret Pod Okiem. Szczycimy się tym, ponieważ naszym szefem był Kazimierz Kaczor, a oprócz niego występowali z nami Zbyszek Zamachowski, Piotrek Machalica, Basia Dziekan, Magda Żuk. Jednym słowem była tam świetna obsada i przyjemna współpraca. Niestety Kazio Kaczor okazał się żeglarzem. Pewnego dnia powiedział, że wy pływa w rejs na pół roku, i wyplłynął, a nasz kabaret upadł. Ale to było coś, co nam się naprawdę udało. Potem występowałem w różnych składankach na przykład dla Hufca OHP razem z panem Zbigniewem Kurtyczem, który w sali przesiąkniętej potem hufca pracy śpiewał z wielkim wdziękiem *Cicha woda brzegi rwie*. Do dziś to pamiętam. Miałem też zaszczyt występować w lokalu, który był następcą Café Fogg. Przyszedł do nas pan Mieczysław Fogg i nas wszystkich przedstawił. My byliśmy wtedy dwudziestoparoletnimi szczawiami i to niesłychanie nam imponowało, że wychodzi Fogg, taka legenda, i po kolei nas zapowiada, wita publiczność. W dodatku zrobił to bezinteresownie, nie było go na afiszu. Takie mieliśmy uroczne przygody. Moja żona prawie zakochała się w ponad siedemdziesięcioletnim panu Zdzisławie Gozdawie, który był niesłychanie szarmanckim, eleganckim, naprawdę uroczym mężczyzną w starym stylu. Moja żona wyglądała wtedy na piętnaście albo czternaście lat. Bardzo miła była

dla niej ta rewerencja starszego pana. Nasz kolega z kabaretu miał występ z panią Hanką Bielicką, ona zawsze matkowała wszystkim młodym. Zapytała go, z kim występował, a ten odpowiada: „Z tym, z tamtym, z owym i z panem Zdzisławem Gozdawą”. A Bielicka na to: „Z Gozdawą? To dziwkarz, to pijak! Ten jego kolega Stępień to chociaż coś oszczędził, a ten wszystko przepił i na dziwki wydał”. I tak upadł mit pana Zdzisława Gozdawy jako człowieka niesłychanie eleganckiego i szarmanckiego. Doświadczyłem wówczas wiele takich rzeczy – zabawnych i ponurych. Napisałem słuchowisko zatytułowane *Trasa*, o będącej w trasie trupie aktorskiej, której członkowie po kolei umierają – to taka komedia makabryczna. Ja dalej mam słabość do takich wydarzeń, po których zostają anegdoty. Już nie wyjdę na scenę, ale słabość została.

**Żaneta Nalewajk:** Myślę, że taka zdolność zmieniania niekoniecznie atrakcyjnych aspektów rzeczywistości w śmiech jest konstytutywna dla twojego widzenia świata jako pisarza. Ten zmysł kabaretowy nie rozplynął się, tylko znalazł ujęcie w powieściach.

**Marek Ławrynowicz:** Ja zawsze lubiłem taką literaturę. Niemal od dzieciństwa uwielbiałem Haška, Gogola, Sołykowa-Szczedrina, Hrabala, Czechowa, Buthakowa, a także dzieła takie jak *Gargantua i Pantagruel* Rabelais’go. Typ literatury pokazującej świat w jego śmieszności, absurdalności był mi zawsze w naturalny sposób bliski.

**Żaneta Nalewajk:** Krytycy często piszą o tobie, że jesteś najbardziej hrabalowskim z polskich pisarzy. Do tego tematu jeszcze wrócimy, a teraz poprosiłabym panią Lucynę Malec o przeczytanie fragmentu powieści *Diabeł na dzwonnicy*, a zaraz po tym wystuchamy *Piosenki o końcu świata*, wykona ją dla nas pan Stanisław Klawe.

**Justyna Malec:** *Diabeł na dzwonnicy*. Fragment:

„Gdy prawie straciliśmy nadzieję, koleżanka Mamy przybiegła z wiadomością, że można kupić samochód, Wołgę. Była to wyjątkowa okazja. Takie to cudeńko nabył dziadek Józef, nie próbując się nawet targować. Wtedy zdarzył się następny cud. Kolega Ciotki Haliny załatwił dziadkowi odkryty wagon towarowy, tak zwaną lore, by mógł swą Wołgę przetransportować do Polski. O szóstej rano na dworcu towarowym rozpoczęto załadunek. O dziesiątej wszystko było gotowe.

Dziadek nie chciał się rozstać z Wołgą, która stanowiła teraz cały jego majątek. Zasiadł za kierownicą, wparł się plecami w miękką kanapę i powiedział, że do Warszawy się stąd nie ruszy. Mnie, po długim molestowaniu, pozwolono towarzyszyć dziadkowi do granicy.

To było fantastyczne. Siedzieliśmy na przednim siedzeniu ramię w ramię i wpatrywaliśmy się w przednią szybę. Dziadek oparł ręce na kierownicy i poruszał nią lekko to w prawo to w lewo. Lokomotywa szarpnęła, skład ruszył i wolniutko toczył się po zwrotnicach. Płynęliśmy wśród odrapanych murów, zaglądając w otwarte okna, wreszcie pociąg wtoczył się na wileński dworzec i tu najnie spodziewanej zatrzymał się przy peronie.

Niedługo miał być podstawiony pociąg do Leningradu, więc na peronie było sporo ludzi, którzy szybko nas dostrzegli, a potem zgromadzili się wokół. Samochód lśnił nieskazitelną czernią,

dyskretnie powiewały firanki, ale najwięcej uwagi skupiał na sobie dziadek Józef, który ubrany w swój najlepszy, przedwojenny garnitur i krawat z tej samej epoki, wyglądał co najmniej jak członek Biura Politycznego.

Kilku starych kolejarzy, pamiętających dziadka jeszcze jako maszynistę sławnego ekspresu Wilno – Warszawa zaczęło do nas nieśmiało machać, na co dziadek odpowiadał z wielką powagą. Nadszedł oddział wojska w okrągłych czapkach, który nie wiadomo czemu, ustawił się w dwuszeregu obok naszej lory i tak zastygł. W ślad za nim nadciągnęła wojskowa orkiestra i niedbale stanęła obok. Zebrał się tłum.

Po dworcu rozeszła się plotka, że dziadka wiozą na Kołymę i, że jest on amerykańskim szpiegiem. Inni stanowczo sprzeciwiali się temu i dowodzili, że dziadek i ja jesteśmy ostatnimi przedstawicielami rodziny carskiej. Tłum odsunął się nieco.

W końcu zgrzytnęły zwrotnice, zapaliło się zielone światło i ruszyliśmy. I wtedy nie wiadomo czy z czyjegoś podmówienia, czy po prostu sama z siebie, orkiestra wojskowa zagrała dziarskiego marsza, równe szeregi czerwonoarmistów wyprężyły się. Zgromadzeni na peronie ludzie, widząc to, pozdejmowali czapki. Jechaliśmy wśród majestatycznie powiewających na wietrze włosów, i dostojnych tysin błyszczących w słońcu. Tu i ówdzie połyskiwały w tłumie daszki kolejarskich czapek z przyciśniętymi do nich dwoma palcami, bo wszyscy kolejarze salutowali. Dziadek Józef ścisnął w dłoniach kierownicę.

Jechaliśmy wolno mijając Nowy Świat, Kominy, Burbiszki, ku Wiczej Łapie. Wagon podskakiwał na stykach szyn, na wagonie podskakiwała powiewając firaneczkami, czarna Wołga, a w środku Wołgi podskakiwałem ja, w górę i w dół, i wszystko podskakiwało wraz ze mną: pagórki, domy, latarnie, drzewa, ptaki, siedzące na gałęzi, jakby Pana Boga znudziło nasze monotonne wirowanie i postanowił potrząsnąć nieco ludzkością, by nabrała radości życia. Nawet dziadek Józef zaczął lekko podskakiwać, podskakiwała marynarka, przedwojenny krawat, starannie uprasowana chusteczka, wyglądająca z kieszonki na piersi. A ponieważ obcując z dzieckiem, każdy mimowolnie wspomina swoje dzieciństwo, dziadek Józef zaczął ni z tego ni z owego kręcić kierownicą, trąbić, warczeć i bez umiaru podskakiwać na siedzeniu.

Pędziliśmy przez podwileńskie laski. Dziadek trąbił, z oczu płynęły mu łzy, toczyły się po zaczerwienionych z emocji policzkach i znikwały wśród siwych, nastroszonych wąsów. Patrzyłem na to pewien, że dziadkowe wąsy staną się od tych łez o wiele dłuższe. Potem myślałem, że gdy zostanę dziadkiem, też będę mógł tak trąbić, kręcić kierownicą i też skądś wyjadę na zawsze, jak moi dziadkowie, pradiadkowie i ci jeszcze dawniejsi, a o których grobach wszyscy zapomnieli i nikt się już nie dowie gdzie były. I, że to będzie całkiem fajnie. A że było mi wesoło na duszy zaczęłam szeptać pod nosem w takt dziadkowego trąbienia:

*„Cierp dusza moja  
a będziesz zbawiona.  
A jak nie wycierpisz  
będziesz potępiona.  
Oj!”*

## Stanisław Klawe:

### „Piosenka o końcu świata

W dzień końca świata  
Pszczółka krąży nad kwiatem nasturcji,  
Rybak naprawia błyszczącą sieć.  
Skaczą w morzu wesołe delfiny,  
Młode wróble czepiają się rynnę  
I wąż ma złotą skórę, jak powinien mieć.

W dzień końca świata  
Kobiety idą polem pod parasolkami,  
Pijak zasypia na brzegu trawnika,  
Nawołując na ulicy sprzedawcy warzywa  
I łódka z żółtym żaglem do wyspy podpływa,  
Dźwięk skrzypiec w powietrzu trwa  
I noc gwiaździstą odmyka.

A którzy czekali błyskawic i gromów,  
Są zawiedzeni.  
A którzy czekali znaków i archanielskich trąb,  
Nie wierzą, że staje się już.  
Dopóki słońce i księżyc są w górze,  
Dopóki trzmiel nawiedza różę,  
Dopóki dzieci różowe się rodzą,  
Nikt nie wierzy, że staje się już.

Tylko siwy staruszek, który byłby prorokiem,  
Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie,  
Powiada przewijając pomidory:  
Innego końca świata nie będzie,  
Innego końca świata nie będzie”.

**Żaneta Nalewajk:** Marku, wspomniłeś, że *Piosenka o końcu świata* jest dla ciebie bardzo ważna. Dlaczego?

**Marek Ławrynowicz:** Ta piosenka jest ważna szczególnie, ponieważ tekst Czesława Miłosza powstał w reakcji na przyłączenie Litwy do ZSRR jako kolejnej republiki. To jest ten Miłoszowski koniec świata. W moim życiorysie to ma ogromne znaczenie, ponieważ zostałem wychowany w przeświadczeniu, że jesteśmy wygnańcami, że moi rodzice, którzy pochodzili z Wilna, nie są tu u siebie, że jesteśmy skądś, z krainy, której już

nie ma i nigdy nie będzie, ale to był nasz świat, z tego się wywodzimy, to są nasze prawdziwe korzenie. To miało dla mojego widzenia świata bardzo duże znaczenie dlatego, że z jednej strony byłem wychowany w micie o kraju szczęśliwym, z którego wszyscy odeszli (rodzice, znajomi, krewni i tak dalej). Z drugiej strony byłem wychowany w dystansie do rzeczywistości, byłem uczony, by tak bardzo się nią nie przejmować, bo to są te warszawskie sprawy, a warszawiacy są nerwowi, popędliwi, nie warto aż tak bardzo się nimi przejmować.

**Żaneta Nalewajk:** Zwłaszcza, że świat skończył się gdzie indziej...

**Marek Ławrynowicz:** Poza tym, jeśli ktoś przeżył niekończące się okupację, to już byle czym się nie przejmował. Taka anegdotka: nastąpił stan wojenny, patrzę przez okno, a tuż przed nim stoi czołg. Lecę do mojej mamy i mówię: „Mamo, tam stoi czołg”, a mama smażyła właśnie racuchy i mówi: „A co to ja czołgu nie widziałam?”. Bez żadnej innej reakcji. Ta historia jest też w jakiś sposób kluczowa dla mojego patrzenia na świat.

**Żaneta Nalewajk:** A teraz zapytałabym cię chętnie o stosunek do fikcji i elementy autobiograficzne w twoich powieściach. Proszę państwa, warto zwrócić uwagę, że *Diabeł na dzwonnicy* to saga opisująca losy dwóch rodów kresowych. Ile czerpałeś z własnych doświadczeń i obserwacji przy pisaniu powieści *Kapitan Car* czy *Mundur*? Tuż przed spotkaniem pytałam cię, czy *Malinówek* jest powieścią z kluczem i czy przestawka w tytule *Malinówek – Milanówek* może mieć jakieś znaczenie dla interpretacji tego tekstu.

**Marek Ławrynowicz:** Ja właściwie zawsze robię to samo. Bohaterów, sytuację, zdarzenia biorę z rzeczywistości. Opisuję ludzi, których widziałem, znałem, z którymi rozmawiałem. Ale to jest tylko konstrukcja podstawowa. A na tę konstrukcję nakładam najróżniejsze rzeczy, w związku z czym bohaterowie przestają być podobni do tych rzeczywistych postaci, a zdarzenia do rzeczywistych zdarzeń. Zaczyna się tworzenie. To jest nabudowywanie fikcji na rzeczywistości. Strasznie trudno powiedzieć, do jakiego stopnia jest to prawda, a do jakiego fikcja. Dla przykładu opowiem ciekawe zdarzenie. Koleżdy mojego ojca z wileńskiej AK pokłócili się przeze mnie po wydaniu *Diabła na dzwonnicy*. Połowa z nich twierdziła, że było tak, jak ja napisałem, a druga połowa – że piszę bzdury. Ci, którzy twierdzili, że piszę bzdury, mieli więcej racji, bo ja rzeczywiście dofantazjowałem tam wiele rzeczy. Ale to, że część z nich – ci, którzy to przeżyli i widzieli na własne oczy – uwierzyła w tę opowieść literacką i dałaby się pokroić, że tak właśnie było, to dla mnie wielki zaszczyt.

**Żaneta Nalewajk:** W takim razie zapytałabym cię jeszcze, co twoim zdaniem jest najistotniejsze w sztuce konstruowania powieści. Po co jest powieść? Co ona daje pisarzowi i czym ona jest dla czytelnika? Jak to widzisz?

**Marek Ławrynowicz:** Pisarzowi daje ewentualnie pieniądze, ale dosyć rzadko i nie każdemu. Poza tym zapewnia mu status społeczny. Gdy komuś mówię, że jestem pisarzem, to jestem traktowany poważnie. Właściwie nie wiem, dlaczego, ale istotnie coś takiego jest. Natomiast z czytelnikiem to już inna sprawa. Po pierwsze, chcę dać czytelnikowi opowieść, która go wciągnie, pochłonie, w którą on wejdzie i będzie przez jakiś czas w niej żył. To cel moich przedsięwzięć pisarskich. Nie jestem autorem, który wykłada *expressis verbis*, o co mi chodzi. Nie tłumaczę wprost, co chcę przez tę powieść powiedzieć. Staram się włożyć to pomiędzy zdarzenia, fakty, śmieszności, staram się to adresować do podświadomości odbiorcy, a nie do świadomości, ponieważ uważam, że literatura nie znosi za dużo obciążeń. Nie można powieści nakładać zbyt dużo obciążeń, bo wtedy psuje się ją. Nie należy włączać w nią ideologii, nawet dla najbardziej szlachetnych celów. Moim zdaniem to niszczy literaturę. Literatura to opowieść o świecie. Słucham sobie teraz *Baśni z 1001 nocy*. To jest właśnie literatura, niekończąca się opowieść, przenikająca się, przechodząca z jednej w drugą. To świat, w którym uczestniczę jako odbiorca, uczestniczę, mimo że nie wiem nic o świecie arabskim tamtych wieków. To dla mnie kwintesencja literatury.

**Żaneta Nalewajk:** Bardzo dziękuję i proszę Iwonę Smolkę o wygłoszenie laudacji.

**Iwona Smolka:** Marek Ławrynowicz to pisarz, który potrafi się śmiać. I również nam, czytelnikom, pozwala na śmiech. Prawdziwy, niewymuszony, spontaniczny. Potrafi śmiać się z ludzi i z przypadków życia – tak dziwnych, że muszą być prawdziwe, skoro wydają się nieprawdopodobne. Z wydarzeń, które są samospzeczne. Z losu, który niekiedy potrafi być łaskawy. Najprościej byłoby powiedzieć, że jest to proza hrabalowska, z tą nieodłączną jej cechą – realizmem, który co i raz przechyla się w stronę surrealistu, z umiejętnością łączenia liryzmu i groteski, absurdu i parodii. Marek Ławrynowicz wprowadza do swoich powieściowych narracji jeszcze jeden element – zmysł historyczny. Niemal wszyscy jego bohaterowie odczuwają ciężar czasu poddanego historii.

Czytając kolejne powieści Ławrynowicza (a łączą się one ze sobą w sposób oczywisty), wchodzimy w przestrzeń poddaną większej lub mniejszej opresyjności, gdy śmiech jest obroną przed całkowitym zniewoleniem. Tworzone przez niego powieściowe przestrzenie, w których rozgrywa się akcja, to swoiste laboratoria. Miejsca zamknięte, wyizolowane, w których zgromadzeni ludzie tworzą między sobą umowny system znaków pozwalający im na bezpieczną komunikację. Tu można śledzić zachowania, przemianę postaw, kształtowanie się hierarchii, rodzenie się autorytetów i przywództwa.

Mamy więc trzy takie laboratoria. Pierwsze to wojsko, jednostka wojskowa, w której króluje kapitan Car, albo ten z powieściowego *Munduru*, przed którym dość skutecznie broni się bohater – Paweł Zabłocki. Tu panują rygor, dyscyplina, podporządkowanie i oficjalna hierarchia stopni wojskowych. A w kontrze pojawiają się wojskowe oferny, luzacy, ci, którzy samą swoją postawą ośmieszają absurd opresyjnego systemu. Pierwsze napięcie pojawia się więc między władzą oficjalną a nieformalnym przywódcą grupy.



Potem widać, jak głupota i absurdalność przepisów przegrywa ze zwykłym, cywilnym życiem. W prowadzonej po cichu, krok po kroku, walce o wyszarpanie dla siebie pola wolności władza totalna traci swój autorytet. Innymi słowy, dwie powieści o życiu w wojsku, czyli *Kapitan Car* oraz *Mundur*, to zapis tego, jak jednostka, pragnąc zachować swoje prawo do wolności, jak nie chcąc i nie dając się ogłupić, zwycięża władzę, jak nieoficjalny autorytet zwycięża nad tym oficjalnym, jak zmieniają się hierarchie. W tych powieściach wszechobejmujący absurd to niestety zapis realnych postaw i wydarzeń. Ukoronowaniem owych scen groteskowych jest zgubienie przez jednostkę armaty w czasie ćwiczeń albo jeżdżenie w kółko po bezdrożach, ponieważ dowódca nie potrafi przeczytać niezbyt dokładnej mapy. Tu humor sytuacyjny (ja śmiałam się głośno, gdy ciężarówka jeździła w kółko, wciąż natykając się na ten sam drogowy znak, strony 86–90) łączy się z prześmiesznymi dialogami, w których objawia się w całej pełni słuch językowy autora. Dialogi, aż nazbyt realistyczne, puentują absurd komicznej sytuacji. To właśnie dialog w prozie Marka Ławrynowicza pozwala na te niezwykle skróty narracji, umieszczenie jak w pigułce wydarzeń, które mogłyby zająć nie dwie, lecz kilkanaście stron. Ta proza nie lubi gadulstwa, nie rozciąga opisów sytuacji. Jest zwarta i energiczna.

Drugim laboratorium jest szpital psychiatryczny. W nim toczy się akcja powieści *Pogoda dla wszystkich* i część powieści *Mundur*. W szpitalu, w którym też obowiązuje ustalona hierarchia – władza od ordynatora aż do salowej również stara się podporządkować sobie społeczność chorych. Ogłupia za pomocą leków, traktowania dorosłych jak małe dzieci (typowe Gombrowiczowskie upupianie). Tylko niektórzy z nich wiedzą, że nie należy połykać pigułek. Zdrowi wydają się bardziej chorzy niż pacjenci, a opresyjność szpitala jest dwuznaczna, skoro może on stanowić azyl i ucieczkę od rzeczywistości. *Pogoda dla wszystkich* to jedyna powieść Ławrynowicza z wyraźną tezą, w swoim założeniu publicystyczną, mającą nas przekonać, że lepszy już szpital dla wariatów niż środowisko polityków, w którym tylko człowiek z amnezją, czyli bohater Jan, może funkcjonować z uśmiechem na twarzy i głosić slogany o powszechnym szczęściu. Tutaj humor pojawia się niemal wyłącznie dzięki dialogom rysującym groteskowość sytuacji.

I wreszcie laboratorium trzecie – zwykła, a właściwie niezwykła kamienica, w której mieszkają świetnie scharakteryzowane, barwne postacie, każda ze swoją historią, a ta mała, skromna, indywidualna niejako uzupełnia wielką historię czasów tużpowszechnych, czyli czasów totalitaryzmu. *Patriotów 41*, czyli ulica i dom, to mistrzowsko skonstruowana powieść. W niej groteska jest niemal liryczna, poetycki liryzm ma w sobie rys groteski, absurd miewa posmak patosu i grozy, zmieszane zostały ze sobą języki narracji, tak żeby było i do płaczu, i do śmiechu.

To przemieszanie nastrojów, rodzajów dykcji, sprawia, że książka staje się migotliwą opowieścią o wspólnym doświadczeniu pokoleniowym tych, którzy doświadczyli wojny, zostali okaleczeni, utracili bliskich, zostali pozbawieni swoich domów. Dom przy ulicy Patriotów 41 jest pożydowski. Stał pusty i nikt do niego nie wrócił. Zasiedlili go obcy, którzy – sami bezdomni – zaczęli z trudem budować swoje rozbite życie. Ta powieść ma nas wzruszać, mówi bowiem o wspólnocie ludzi o dobrym sercu. Jeden funkcjonariusz

służby bezpieczeństwa i jego paskudna żona są wyjątkowymi lokatorami starej kamienicy w podwarszawskim Miedzeszynie. Biografia każdego lokatora to inny rodzaj narracji. Mamcia, która wie wszystko o każdym mieszkańcu, przesiaduje na podwórku albo przez szparę w drzwiach patrzy, kto wszedł do kamienicy i do kogo idzie, jest groteskowa, przerysowana, ale za chwilę będzie zbolatą Matką Polką, patetyczną i wielką w swoim uporze i cichej walce z ubecją. To postać złożona z samych stereotypów i zarazem im zaprzeczająca. Scena nadciągających na wrzosowisko ludzi, którzy wiedzą, że tam, nawet bez zaznaczonych grobów, są pochowani ich bliscy, jest jedną z najbardziej dramatycznych w powieści. Msza na peronie w Rembertowie – nie wiem, czy naprawdę miała miejsce, ale my, czytelnicy, wierzymy, że było tak, jak Ławrynowicz to opisał. Dzieje pani Anny to wielka historia miłosna, z cudem odzyskanym narzeczonym, który w 1956 roku wrócił z więzienia we Wronkach. Jego na pół strony przedstawiona historia to skrót losów świętnego pisarza Janusza Krasieńskiego. Narracja jest prowadzona z dystansu, obiektywna, niemal sucha. Gębarowski to postać komiczna, przełamana przez groteskę, ale kreacja następnego lokatora – ojca wielu dzieci, kolejarza opukującego koła i zażywającego nocnych uciech w wagonach – to już farsa w czystym stylu.

Jest też trochę sentymentu, jest smutek małego Wojtka, który kiwa się nieustannie na koniu na biegunach, a jego chora psychicznie matka ląduje w szpitalu, jest język czystej groteski i satyry, gdy oglądamy małego kurdupla, urzędnika chodzącego na czterech podszwach, i jego żony z domu Paluch – bardzo zażywej i namiętnej niewiasty.

Marek Ławrynowicz lubi swoich bohaterów i lubi biografie. To one są małymi, zwartymi kapsułkami czasu i historii. W całej krasie objawia się to w mojej ulubionej powieści *Diabeł na dzwonnicy*. Narratorem jest autor, który w czasie wojny, gdy zaczyna się akcja, jeszcze nie istniał. Stąd z jednej strony dystans do opisywanych wydarzeń, z drugiej zaś – narracja baśniowa. Kiedy patrzy się z dystansu na dawno minione wydarzenia łatwo o uśmiech pobłażania, o sentyment, o małą kpinę. Dzieje dziadków i rodziców otula lekka mgielka sentymentu, bajki i ballady: „Żyli, byli, przemijali, trudzili się, całowali dzieci, jedli zupy, mieli nadzieję na lepszą przyszłość” – to początek opowieści, w której dziadek Józef, maszynista, „jechał polec za rosyjskiego cara”. Drugi dziadek jest policjantem. Mieszkają spokojnie w Wilnie, a raczej w Kolonii Wileńskiej, aż nadchodzi wrzesień 1939 roku i tu my, czytelnicy, dostajemy wspaniałą skrót historii w pigułce. Pojawią się więc: wędrówka ludów, jazda pociągami tam i z powrotem, ucieczki, szukanie bezpiecznego miejsca. To sceny napisane w sposób brawurowy, zmienia się tempo narracji, obrazy jak z apokalipsy w kilku zdaniach podsumowują grozę wojny:

„W ten sposób przesuwali się, a wraz z nimi wędrowało wielu innych, prawomyślnych i nieprawomyślnych, uciekających ze swoich domów i powracających do nich. Najwięcej było szaleńców. Przebiegali z wyciem przez drogi, widziano ich siedzących w rowach i wykrzykujących niezrozumiale, nie wiadomo na czyją cześć. Kobiety z rozczochranymi włosami unosiły spódnice i chichotały. Inne, szczerzenie pozapinane, nie wypuszczały z rąk różańca, klękały wśród drzew i monotonicznie szeptały coś

Panu Bogu na ucho. Namnożyło się przerażonych i zobojętniałych, krzykaczy i milczków, maszerujących pojedynczo i w gromadzie”.

Cała powieść to żywa historia w obrazkach, w epizodach tak ściśniętych, że nie da się już bardziej, a zarazem, paradoksalnie, niezwykle pojemnych. Jest tu i partyzantka na Wileńszczyźnie i wejście Armii Czerwonej i okupacja niemiecka, jest wojna w roku 1944 i 1945, i niemieckie obozy jenieckie, ucieczki i ocalenia. Pojawia się też komiczna i groteskowa ucieczka stryja Mietka, który w przydrożnych niemieckich knajpach daje pokaz wystruganych figurek w pornograficznych pozach, co zapewnia mu niemal luksusowe życie. Ta groteskowa opowieść zostaje przełamana przez poczucie tworzącej się na naszych oczach na poły legendarnej narracji o powrocie do kraju. Jest wreszcie powojenne życie w Polsce. Szaber na ziemiach zachodnich, bezprawie i gwałty.

Zderzenie realizmu, niekiedy brutalnego, historii i legendy, patosu i bardzo trywialnej rzeczywistości daje efekt niezwykle szybkiego tempa narracji. Budowanie napięć stylistycznych, płynne przechodzenie od burleski (tu zalecam przeczytanie fragmentu z pochodem pierwszomajowym i taksówką niesioną na ramionach, w której wrzeszczy nowo narodzony) do satyry czy absolutnie realistycznej sceny przesłuchania na ubecji, daje efekt konstrukcji kalejdoskopowej. Poszczególne sceny oświetlone są niejako punktowo, zmieniają się szybko, żeby w rezultacie dać nam niezwykle barwny obraz przemian historycznych, w których uczestniczyli wszyscy nasi bliscy.

Na tym też polega siła tego pisarstwa – na odwołaniu się do doświadczenia zbiorowego, na budowaniu wspólnoty, co z tego, że najczęściej pozornej, bo przecież wszyscy nieco upiększamy i ubarwiamy przeszłość. Ta tworzona przez Ławrynowicza utopia przestrzeni ludzi dobrych jest jednak bardzo pociągająca. Przecież nie chce on opowiadać historii kraju, tylko dzieje poszczególnych osób, a że czasami wychodzi nieco inaczej, no cóż... temu służy talent pisarza, żeby z małych epizodów uczynić historię powszechną.

Marku, bardzo dziękuję za lekturę twoich książek.

**Marek Ławrynowicz:** To ja dziękuję.

**Żaneta Nalewajk:** Iwono, bardzo ci dziękuję za piękną laudację, w której jak w soczewce uchwyciłaś kwintesencję pisarstwa Marka. Poproszę o kolejną piosenkę, a po niej wysłuchamy drugiej laudacji.

**Stanisław Klawe:** *Poradnik urządzania wnętrza.*

**Żaneta Nalewajk:** Bardzo dziękuję i proszę pana Janusza Kukułę o drugą laudację, w której przedstawi nam kolejny bardzo ważny aspekt twórczości jubilata, czyli twórczość radiową.

**Janusz Kukula:** Proszę państwa, na początek muszę państwa prosić o pewien wysiłek wyobraźni, ponieważ jestem związany z Teatrem Polskiego Radia, który jest nazywany Teatrem Wyobraźni. Wyobraźcie sobie, że Marka tutaj nie ma. Wymażcie go, ponieważ dzięki temu będzie mi łatwiej o nim mówić. Będę tu zdradzał pewne tajemnice, tajniki naszego wieloletniego współżycia. Nie proszę go jednak, by zniknął, bo i tak do wie się, co mówiłem – żona mu przekaże, pani dyrektor mu przekaże i wszyscy państwo opowiedzą: „Marku, a wiesz, co ten Kukula stary o tobie mówi?”.

Pod koniec XX wieku był taki człowiek, bardzo znany w całej Europie i bardzo związany z Polską i z Warszawą, ale po wojnie zamieszkał w Niemczech. Nazywał się Marcel Reich-Ranicki. Był naprawdę wielką gwiazdą intelektualną Europy Zachodniej. Wszyscy ważni ludzie prosili go o ocenę literatury, zdanie na temat twórczości. Jeżeli on mówił, że coś jest dobre, to sprzedawało się to w milionach egzemplarzy, a jeżeli powiedział, że coś jest złe – to wydawca nie wznawiał już nigdy tych utworów. Zadzwoniono do niego z miesięcznika „Elle”, by napisał esej o miłości. Na to pan Marcel mówi: „Dobrze, z wielką przyjemnością napiszę dla tak wspaniałego miesięcznika. A ile państwo płacą?” Odpowiedzieli mu: „Trzy tysiące marek”. „Dobrze, już zabieram się do pracy. Tylko jeszcze jedno pytanie: jak duży ma być ten tekst?”. „Na trzy strony” – odpowiadają. „A nie, to pięć tysięcy poproszę”. Mówię to państwu, żeby podkreślić słowa z początku naszego spotkania o małych formach literackich. Ich tworzenie jest znacznie trudniejsze niż napisanie wielkiej powieści. Wyobrażam sobie, że gdyby Marek wysłał swoje utwory panu Marceli Reich-Ranickiemu, który doskonale mówił po polsku, to z całą pewnością napisałby taką recenzję, że Marek dzisiaj jeździłby mercedesem, miał dom w Marbelli, uważał nas nadal za swoich przyjaciół i stawiał nam kolacje. A my przyjmowalibyśmy to z przyjemnością, bo kluczem do relacji międzyludzkich jest rozmowa. Wszyscy czujemy to samo. Na pytanie „Jak się czujesz?” wszyscy na świecie możemy po raz pierwszy w historii odpowiedzieć: „Tak jak ty”. Marek właśnie tak odpowiada na bardzo ważne dla nas pytania.

Marek się boi i ja ten jego strach podzielam. Tylko nie mówcie mu tego. Marek boi się, że ludzie głupieją. Wszystko, co robi, robi po to, żeby ten proces zatrzymać. To jest klucz do jego twórczości. Ja nigdy Markowi tego nie powiem, ale przegra. Cokolwiek napisze, to jest krzyk rozpacz: „Ludzie, nie róbcie tego”. Marek potrafi mnie rozśmieszyć do łez i są to jedyne łzy, których się nie wstydzę i nie boję.

Zrealizowaliśmy razem około pięćdziesięciu utworów – to jest ogrom wspólnej pracy. Zdarzają się powieści na podstawie scenariuszy filmowych. Film odnosi sukces i wtedy właśnie pisarz przenosi treść na papier, powstają w ten sposób znakomite dzieła. Bywa też odwrotnie. Podkreślam to dlatego, że pierwszy raz w historii radiofonii publicznej w Polsce pod piórem Marka ze słuchowiska powstała powieść *Malinówek*. Bywały takie historie, że sławni poprzednicy i przyjaciele Marka – przede wszystkim Andrzej Mularczyk – tworzyli ze słuchowisk scenariusze filmowe, ale to był trochę inny proces. Proszę sobie wyobrazić, że *Sami swoi* – film, który wszyscy uwielbiamy – byli najpierw słuchowiskiem. Podobnie postępował drugi wielki człowiek radia, Jerzy Janicki, który najpierw pisał

słuchowisko i, jeżeli sprawdzało się ono w formie radiowej, tworzył scenariusze filmowe. Jestem głęboko wzruszony i zaciekawiony *Malinówkiem*. Czeka mnie dzisiaj przez Marka nieprzespana noc. Będę czytał tę powieść. Mam nadzieję, że uda mi się to zrobić po meczu Polski ze Słowacją.

Marek jest gadułą, a ja uwielbiam gaduły. Marek na dodatek wie, co mówi, a to już należy do rzadkości. Państwo wiedzą, że w tych milionach słów, które docierają do nas każdego dnia, sens ma zaledwie kilka, kilkanaście. Zapamiętujemy nie więcej niż pięć, a ludzi, których spotykamy, którzy nas mijają, bardziej się lękamy, niż chcemy z nimi być. Tak w tej chwili wygląda los ludzkości. Żeby to zmieniać, potrzebni są tacy ludzie jak Marek Ławrynowicz, bo Marek niesie pocieszenie. W tym, co robi, jest wielki akt odwagi i mówi do nas: „Nie jesteście sami. Ja też tak czuję. Ja też tak patrzę na świat. Też troszeczkę śmieję się z niego, bo to pomaga mi przetrwać”. To jest bardzo skomplikowane, trzeba mieć do tego talent. Chcieć to jedno, a zrobić to drugie. Inny wielki pisarz polski, Wiesław Myśliwski, kiedy powiedziałem, że przychodzą do mnie ludzie z różnymi pomysłami i jest mi bardzo trudno z nimi rozmawiać, mówił: „Tak, pomysły może mieć każdy. Na szczęście nie każdy je realizuje”. Marek ma pomysły i te pomysły w sposób przepiękny urzeczywistnia.

Co sprawia, że chcemy czegoś lub kogoś słuchać? Państwo wiedzą, że trudno słuchać kogoś przez czterdzieści pięć minut. Ilu znacie ludzi, których chcielibyście państwo tak długo słuchać? Zaledwie kilku i do tych kilku należy pan Marek Ławrynowicz, jeden z najważniejszych ludzi, z którymi zetknąłem się w swojej już bardzo długiej pracy radiowej. To, co się zaczyna, zawsze musi się skończyć – taki jest nasz los. A ja Markowi życzę, żeby jego wyobraźnia nigdy się nie kończyła, żeby zawsze wierzył w sens słów.

Na koniec wyobraziłem sobie, kim Marek mógłby być, gdyby nie był tym, kim jest. Mógłby być nauczycielem rysunku w miasteczku D, uczyć dzieci, że słowa można narysować. Mógłby być podróżnikiem, który nie musi wychodzić z domu, by odkryć źródła Amazonki. Mógłby być hodowcą róż, a przynajmniej jednej, bo w ten sposób wierzyłby, że można ocalić kolory. To, co wydaje mi się najważniejsze z tych moich wyobrażeń o Marku: mógłby być pszczelarzem i opowiadać pszczołom, tym cudownym stworzeniom, bajki o dobrych ludziach i mówić im, że warto żyć. Dziękuję.

**Żaneta Nalewajk:** Bardzo dziękuję za wspaniałą laudację.

**Marek Ławrynowicz:** Już teraz państwo wiecie, po co człowiek odbywa jubileusze. Żeby przyszła Iwona, żeby przyszedł Janusz i żeby uczynili człowieka szczęśliwym. Warto czasem bywać jubilatem.

**Janusz Kukuła:** Po prostu warto być tak pięknym człowiekiem, jakim jesteś. Takim człowiekiem, który sprawia, że chce się żyć. Przypomniałem sobie jeszcze jedną anegdotę na koniec, bo na koniec musi być anegdota. Marek (którego tu nadal nie ma,

nie opowiadajcie mu tego) przyszedł do mnie i opowiadał o swoich planach, co będzie pisał, jakie *Malinówki* będziemy jeszcze robić. Przypomnę tylko, że główną rolę w tym słuchowisku grał Krzysztof Kowalewski, nasz cudowny przyjaciel. Niestety już żaden *Malinówek* nie powstanie, bo bez Krzysia to jest niewyobrażalne. A Lucyna Malec grała jego sekretarkę, tak w nim zakochaną, że aż nieprawdopodobne historie się zdarzały. Otóż Marek opowiada, a ja siedzę i słucham, bo tak zachowywać się nakazuje mi kultura. Takich spotkań odbywam wiele. Milczenie jest naprawdę złotem. Marek opowiada, a w pewnym momencie widzi moje spojrzenie i mówi: „Ja o sobie mówię, a ty nie masz, jak opowiedzieć o sobie! Słuchaj, powiedz, co sądzisz o moim ostatnim słuchowisku?”. Poczułem się lepiej – opowiedziałem.

**Żaneta Nalewajk:** Bardzo dziękuję. Jeśli państwo pozwolą, ja też dorzucę swoje trzy grosze. W Marku Ławrynowiczu (jako człowieku i jako pisarzu) jest pewien fenomen. My się trochę znamy. Nie znamy się świetnie, ale już wiele lat. Przez te wszystkie lata nigdy nie uśmieiałam się do też w towarzystwie Marka. Ale czytając jego książki, owszem, śmiałam się w głos. Robiłeś na mnie, Marku, wrażenie osoby zdystansowanej. To jest dokładnie to, o czym była mowa. Postrzegałam cię jako taką osobę, dla której świat się skończył gdzie indziej, w związku z czym ma ona dystans do tego, co dzieje się tu i teraz. W trudnych momentach w środowisku pisarskim dzieliłeś się ze mną tym dystansem, bardzo ci dziękuję, to mi zawsze bardzo pomagało. Było tak również, kiedy współpracowaliśmy w komisji kwalifikacyjnej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W trudnych momentach nacisków na tę komisję zyskiwałam poczucie, że masz umiejętność uczenia ludzi rozumienia siebie nawzajem. Nawet jeśli okazywało się to możliwe tylko w niewielkim stopniu, nawet kiedy o tym wiedziałeś i stwierdzałeś: „Wiesz, on już taki jest i nie zmieni się, więc pogódź się z tym”. Chcę ci za ten dystans podziękować. Myślę, że jako struktura stowarzyszenie straciło dużo, tracąc ciebie. Zastanawiałam się wielokrotnie, jaką rolę bardzo często odgrywałeś w tym środowisku. Myślę, że w środowisku pisarzy byłeś osobą, która czasami była w stanie nakłonić je do opamiętania. Tam, gdzie toczył się beznadziejny spór, tam, gdzie gwałtownie zderzały się światopoglądy, tam, gdzie dyskutanci stawali się więźniami swojego punktu widzenia i wiadomo było, że już ani na krok poza niego nie wykrócą, a człowiekowi obserwującemu tę sytuację zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby wycofać się jak najszybciej i nie wchodzić między młot a kowadło, to w centrum takiej dyskusji pojawiałeś się ty. Miałeś umiejętność wejścia w środek sporu i ukazania jego meritum z innego punktu widzenia. Było to bardzo dobrze widoczne w twojej aktywności środowiskowej, na przykład w mediach społecznościowych. W wielu sytuacjach musiało to być dla ciebie dotkliwe. To miało swoją cenę. Z tego powodu cieszę się, że teraz tę rolę będziesz odgrywał już tylko jako pisarz – piórem.

Czasem myślę, że być może w tym ferworze sporów odnajdywałeś swoich bohaterów i że to ciekawość poznawcza wciągała cię między młot a kowadło. To moje pytanie.

**Marek Ławrynowicz:** Myślę, że Stowarzyszenie Pisarzy Polskich straciło wiele, tracąc Piotra Matywieckiego, Iwonę Smolkę, Jacka Moskwę, tracąc grupę bardzo ważnych dla mnie ludzi.

**Żaneta Nalewajk:** Tak, dzielimy to doświadczenie. Chciałam podziękować ci też za to, że kiedy przyszło nam wspólnie z Piotrem Matywieckim, Iwoną Smolką, Jackiem Moskwą i Piotrem Mitznerem zjeść worek soli, to go z nami zjadłeś. Ten rodzaj obecności jest bardzo rzadki, niełatwy i bardzo cenny.

**Marek Ławrynowicz:** W dobrym towarzystwie sól jest smaczna. To, o czym mówisz, wynika poniekąd z mojego przekornego charakteru. Kiedy widzę na Facebooku, że dieście osób w kogoś wali, to ja mam naturalny odruch, żeby się temu sprzeciwić. Gdy wszyscy mówią, że coś jest okropne, obrzydliwe, paskudne, to ja nagle jako jedenasty piszę: „A mnie się to podoba”. Nijak nie mogę się powstrzymać, żeby tego nie napisać. Robię to, żeby przywrócić jakąś równowagę rzeczywistości. Nie ma się co aż tak emocjonować. Zastanawiam się, po kim mam takie cechy, że tak łatwo nie ulegam emocjom i tak jestem skłonny do przekory. To jest jedna rzecz, a druga rzecz: lubię facebookowych ekstremistów. Ekstremiści są dla mnie ciekawi.

**Żaneta Nalewajk:** Tak. Przyciągasz dziwności ludzkie wszelkiego autoramentu.

**Marek Ławrynowicz:** Jacek Moskwa, tu obecny, kiedyś ubolewał nawet, że ja mam takich dziwnych znajomych na Facebooku, którzy nie wiadomo skąd się wzięli. Oni są dla mnie ciekawi. Jeśli pojawia się coś dziwnego, jest interesujące. A jeśli ktoś jest jak ja, normalny i spokojny, to przestaje być dla mnie interesujący.

**Żaneta Nalewajk:** Pamiętam, że kiedy cię po raz pierwszy o to zapytałam, odpowiedziałeś mi: „Wiesz, Żaneto, ja jestem pisarzem, ja muszę interesować się różnymi ludźmi”.

**Marek Ławrynowicz:** Tak. Pisarz to w jakimś sensie niebezpieczny człowiek. Symbolem tego, bardzo pięknym, jest Wyspiański, który przez całe wesele Rydla stał oparty o drzwi, mało mówił, mało pił, niewiele jadł, po czym machnął sztukę teatralną na bazie tego, co zobaczył. Pisarze tacy są. Będą stali, gapili się, a potem zrobią z tego użytek. Jeśli nie są złośliwi, to fajnie. Pisarz jest trochę jak sęp.

**Żaneta Nalewajk:** Och! Chyba nie.

**Marek Ławrynowicz:** Tak, bo jak sęp szuka: może tu, może tam, może ówdzie, może tu, bo tu ciekawy człowiek, choć trochę bzdury wypisuje, ale ciekawy, bo w ciekawą stronę ma spaczony umysł.

**Żaneta Nalewajk:** Tak można powiedzieć o części twoich bohaterów. Myślę, że w jakiejś mierze czerpiesz pożywkę literacką właśnie z tych dyskusji odbywających się na najwyższym diapazonie emocjonalnym. Z dialogu lub takiej wymiany zdań, która zaprzepaszcza szansę na niego. A zainteresowanie dialogiem łączy się ze sztuką radiową. Tutaj także jest most pomiędzy twoją sztuką powieściopisarską i radiową. Pod twoim piórem obie wydarzają się w mowie, w sporze, w ferworze dyskusji, w dialogu, jak to celnie zauważyła Iwona w swojej laudacji.

**Marek Ławrynowicz:** Osobowość człowieka przejawia się też w tym, jak on mówi, jakich słów używa. W gruncie rzeczy jest bardzo mało ludzi mówiących poprawnym językiem polskim, takim, jakim władają Iwona czy Piotr tu siedzący. Większość mówi w dziwny sposób, wyraża emocje, łamiąc reguły gramatyczne, zniekształcając słowa, wtrącając jakieś frazy bez sensu. Na przykład mój lekarz, nie wiadomo dlaczego, wtrąca „rda”. Pojawia się ono między słowami. To bardzo inteligentny człowiek i świetny facet. Mówi: „Weźmie pan te lekarstwa, no i wtedy rda będzie lepiej”. Nie wpadłbym na to, gdybym tego nie usłyszał. Ludzie mówią dziwacznie, ale jeżeli się z tego zrobi użytek, wtedy wychodzą nam charaktery. Jedni mówią szybko, drudzy wolno, jedni mówią ekspresyjnie, drudzy – monotonna. We wszystkim wyraża się natura danego człowieka. W dobrym utworze literackim każdy bohater mówi innym językiem, a przynajmniej powinien mówić.

**Żaneta Nalewajk:** Tak, to prawda. Bardzo proszę teraz o fragment powieści *Mundur*, a potem o kolejną piosenkę.

**Stanisław Klawe:** Na życzenie jubilata piosenka z lat osiemdziesiątych. *Izba wytrzeźwień*.

**Żaneta Nalewajk:** Marku, w ostatnich dniach ukazała się twoja najnowsza powieść *Malinówek*. Powieść jest świeżutka, ale sama koncepcja *Malinówka* sięga swoją historią wiele lat wstecz, bo jego początek wziął się z twórczości radiowej.

**Marek Ławrynowicz:** Tak. Słuchowisko radiowe jest utworem niestychanie ulotnym – pojawi się na chwilę, przeleci i znika gdzieś w przestrzeni. Książka – nie. Książka gdzieś tam tkwi, leży u kogoś na półce, w bibliotece, ktoś ją wystawia na Allegro. Książka ma swoje toczące się życie. Chciałem, żeby te opowieści o Malinówku, które tworzyliśmy z Januszem Kukułą, zostały, żeby ta rzeczywistość istniała i była obecna. Janusz odegrał też dużą rolę inspirującą, pewne rzeczy mi podpowiadał, miał pomysły, pragnienia, które starałem się zrealizować, więc można go spokojnie nazwać współtwórcą tego cyklu. Kiedy już zacząłem pracować, zmarł Krzysztof Kowalewski, i to jest tak, jak Janusz powiedział: bez niego tego nie ma. Nigdy już nie powstanie żadne słuchowisko o Malinówku, bo po śmierci Krzysztofa jest to niemożliwe. Więc tym bardziej



chciałem, żeby to zostało w formie książkowej, ale też miałem smak na coś satyrycznego, prześmiewczego, atakującego rzeczywistość, w której żyjemy, przez odniesienie się do jej absurdalności. Miałem ochotę na coś atakującego nie tyle ściśle publicystycznie, ile poprzez pokazanie absurdu, w którym żyjemy i w którym musimy się poruszać. Z jednej strony, to miasteczko, bardzo dumne z tego, że znajduje się w centrum Polski, Europy, Świata i Wszechświata, jest malutkie, jakbym patrzył na nie przez mikroskop. W Malinówku pomysły są malutkie, ludzie są malutcy, idee są pokraczne i dziwaczne. Ale z drugiej strony doskonale to znamy. Na przykład ciągłe odwoływanie się do historii: burmistrz i zawiadowca, którzy ścigają się, który jest bardziej podobny z profilu do Marszałka Piłsudskiego, Święto Niepodległości, którego nie można zorganizować, bo każdy robi swoje, Dzień Dziecka, podczas którego wybiera się dziecko burmistrza, ale okazuje się, że to nieodpowiednie dziecko i trzeba jakoś wybrnąć z tej sytuacji. Obserwujemy to na co dzień w większej skali. Jeżeli to dzieje się w Malinówku, wtedy doskonale widzimy, że to wszystko jest pozorem, lipą. Burmistrzowi chodzi tylko o to, żeby na kolejną kadencję znów zostać burmistrzem i żeby być burmistrzem aż do końca życia. Panu Ziutkowi nie chodzi o to, żeby burmistrz dobrze wypadł w oczach wyborców, tylko o to, żeby wyciągnąć z kasy miejskiej swoje parę złotych. Proboszczowi nie chodzi o lepszy i szlachetniejszy świat, tylko o to, żeby sprawować władzę nad ludźmi, by czuli się zobligowani do robienia tego, co proboszcz dla nich chce. Zawiadowca ma taką umysłowość, że każde zagadnienie, o którym mówi, jest sprowadzone do kolejnictwa, torów, pociągów. To wszystko nie wydaje się czymś niezwykłym w naszej rzeczywistości. Włączamy telewizor i mamy takich ludzi. Ta książka to mój prywatny protest przeciwko zmaleniu naszego świata.

**Żaneta Nalewajk:** Wiesz co, Marku, jest coś niesłychanego w tym, co mówisz. Kiedy czytałam tę książkę, myślałam o takiej figurze literackiej, która nazywa się litota. Litota to jest taki chwyt, który skutkuje tym, że widzimy bohatera w przestrzeni, on stopniowo zmniejsza się i zmniejsza, wciąż maleje i maleje, aż w końcu zanika. Pomyślałam sobie, że u ciebie ta satyra działa jak litota, tylko nie w odniesieniu do postaci, lecz w odniesieniu do spraw, ambicji, górnolotnych celów, które się okazują górnolotne jedynie w sposób wyimaginowany. Gdy czytałam *Malinówek*, towarzyszyło mi poczucie odciążającego zmalenia. To wszystko nagle stało się małe, nieistotne, słabe, takie, że już nie może wywierać na nas presji, bo wybieramy inny sposób i inną jakość bycia. Ten chwyt nie jest do końca litotą, natomiast nie mogłam się pozbyć wrażenia, że zmalenie, o którym mówisz, zobaczone w mikroskali w końcu zyskuje także realną referencję. Myślę, że znakomicie udało ci się zrealizować ten cel.

**Iwona Smolka:** *Malinówek* jest jedyną twoją powieścią, w której nie ma ani jednego sympatycznego bohatera. W tej powieści bohaterowie są tak niewiarygodnie głupi, że nawet gdyby człowiek chciał się zlitować, to nie może. To powieść rzeczywiście satyryczna, ale z tym ostrzem, które nie pozostawia całym nikogo i nic. Zostaje pustynia.

**Marek Ławrynowicz:** To jest w gruncie rzeczy szkoła Gogola i Sałtykowa-Szczedriny. To tak jak w *Rewizorze*. Tam też nie znajdziemy sympatycznego bohatera, po prostu cały świat jest skrzywiony, dziwaczny, pokraczny. Jedyne, który budzi moją sympatię, to pan Bobczyński, który prosi, żeby Chlestakow, kiedy będzie w Petersburgu, powiedział carowi, że tutaj, w tym mieście, mieszka Iwan Iwanowicz Bobczyński. Jeszcze gorzej jest u Sałtykowa-Szczedriny w *Opowieściach gubernialnych*. Tam już nie ma nadziei na cokolwiek. Z tego można śmiać się nieustannie, ale w przybliżeniu to staje się straszne. *Malinówek* nie jest taki straszny, ale ma coś z tej szkoły satyry, która jest okrutna. Zdenerwował mnie ten świeatek i odreagowałem powieścią.

**Żaneta Nalewajk:** Postaeś pod ścianą, popatrzyłeś...

**Marek Ławrynowicz:** Odreagowałem w tej książce wszystko, co mnie złościło. Mam nadzieję, że przez śmiech będzie trochę łagodniejsza. Ale jeżeli się zastanowimy nad konkluzjami, to, lwono, masz rację.

**Żaneta Nalewajk:** To poprosimy o fragment *Malinówka*.

**Żaneta Nalewajk:** Bardzo dziękuję. Marku, chciałabym zapytać, o co jeszcze chciałbyś być zapytany przy okazji swojego jubileuszu. Co chciałbyś powiedzieć, skomentować?

**Marek Ławrynowicz:** Chciałbym powiedzieć, że to, co śpiewa Stanisław Klawe – *Piosenka o końcu świata*, *Poradnik urządzania wnętrza*, *Izba wytrzeźwień*, *Przepowiednia* – to są utwory z różnych powodów dla mnie ważne. Wybrałem je i poprosiłem Stanisława, żeby je zaśpiewał. *Urządź sobie wnętrza* to jest utwór, na który często się powołuję podczas wykładów i warsztatów dla młodych twórców. Oni mnie pytają, co trzeba zrobić, żeby dobrze pisać. Na co ja im odpowiadam, że technika to jest rzecz, której każdy się uczy, natomiast nie możemy dać z siebie więcej, niż w sobie mamy. Najważniejszą rzeczą dla młodego artysty jest urządzić sobie wnętrza, a na każdym piętrze swojej świadomości coś z ozdobnych roślin dać. To jest dla mnie piosenka, która mówi ważną prawdę o świecie. Natomiast *Izba wytrzeźwień* to piosenka, która mówi o tamtym czasie to, czego ja nie powiedziałem, ponieważ moja skłonność do absurdu, śmiechu i zgrubień nie pozwoliła mi powiedzieć tego w taki sposób. Zawsze gdzieś to robiłem inaczej. Wydaje mi się, że te utwory, które Stanisław dzisiaj zaśpiewał, jakoś komponują się z tym naszym wieczorem w głębszym sensie. Ja jestem tym wieczorem z lekka oszołomiony, ponieważ ujawniono tu wiele rzeczy, których o sobie nie myślałem. Zastanawiam się w tej chwili, czy to, co Iwona i Janusz mówili, jest prawdą, ponieważ wcześniej nie przychodziło mi to do głowy. Bardzo miło jest wszystkich was widzieć po takim okresie siedzenia w domu, zamknięcia, unikania kontaktów z ludźmi. To jest strasznie miłe, że mogliśmy razem sięść i ze sobą pobyc, porozmawiać.

**Żaneta Nalewajk:** To prawda. Proszę państwa, mamy dzisiaj jeszcze cztery punkty programu. Punkt pierwszy – piosenka końcowa. Punkt drugi – niespodzianka dla państwa, będą państwo mieli na zakończenie tego jubileuszu okazję obejrzeć film *Wszystko z Markiem Ławrynowiczem* w roli głównej. To jest krótki, dziesięćminutowy etiuda.

**Marek Ławrynowicz:** Nie ma reżysera tego filmu, Lwa Kondefera, ale są jego rodzice, więc mu powtórzę, że po raz kolejny czuję się szczęśliwy, że Lwo dał mi szansę wystąpienia w jego filmie.

**Żaneta Nalewajk:** Punkt trzeci, który pozwolę sobie zrealizować, to kwiaty dla jubilata, a potem już życzenia i rozmowy w kuluarach. Prosimy o piosenkę.

**Stanisław Klawe:** To jest pieśń śpiewana w Kabarecie Pod Okiem przez Barbarę Dziekan, ale ja jako autor i kompozytor też to wykonuję, tym razem na życzenie Marka, dla państwa. *Przepowiednia*.

**Żaneta Nalewajk:** Serdecznie dziękuję. Bardzo dziękuję Marku, Iwonko, panie Januszu, pani Lucyno, panie Stanisławie, dziękuję państwu i zapraszam wszystkich państwa na film.

**Jubileusz literacki siedemdziesiątych urodzin Marka Ławrynowicza odbył się 14 czerwca 2021 roku w Domu Kultury Śródmieście w Warszawie.**



Roussanka Alexandrova-Nowakowska, cykl *Latanie* (technika mieszana)